Październik 2011

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

177

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE”

ERG 2011

24-25.09 Góry Świętokrzyskie

Pomysł, żeby pojechać Góry Świętokrzyskie zrodził się już jakiś czas temu – na zeszłorocznym ERG-u, na Ślęży. Ekskluzywny Rajd Górski, jak wiadomo, odbywa się co roku w innym miejscu leżącym poza naszym Terenem Uprawnień. Chcąc „odpocząć” od wycieczek w tradycyjne pasma takie jak Beskid Sądecki czy Sudety, postanowiłem zorganizować Rajd w zupełnie innym miejscu. Góry Świętokrzyskie, mimo swej nieznacznej wysokości, spełniały jednak wymagania rajdu górskiego. Słowo „góry” występuje zarówno w słowie: „Łysogóry” jak i w nazwie: „Góry Świętokrzyskie”. W odróżnieniu do Tarnowskich Gór, Zielonej Góry czy Jastrzębiej Góry, wypukłości pasma Łysogór są znaczne. Z racji ogromnych wysokości, charakteru tych „gór” oraz podejścia „zdobywających” je ludzi do turystyki temat rajdu nasunął się sam. Konieczna była też drobna zmiana rozwinięcia skrótu ERG: Ekskluzywna Rekreacja Górska.

Uczestnicy ERG-u przyjechali do Kielc przeważnie koleją z całej Polski. Ku zdziwieniu organizatorów wszystkie pociągi przyjechały zgodnie z planem tak, że o 11:30 byliśmy już w komplecie na peronie 2 kieleckiego dworca. Większość uczestników przyjechała z Górnego Śląska, choć uzbrojeni w klapki turyści przybyli także z Trójmiasta, Jeleniej Góry, Warszawy czy Wrocławia. Tymczasem uczestników czekał już wynajęty autobus, którym przejechaliśmy do Świętej Katarzyny. Z tej miejscowości w sile 28 osób wyruszyliśmy na trasę pieszą. Trasa usiana była niebezpieczeństwami: potykaliśmy się o wielkie kamienie, cudem unikaliśmy zderzenia z innymi turystami, a nawet natknęliśmy się na blokadę szlaku. Nie mieliśmy wyboru: ulgowy 2.50 zł, normalny 5.00 zł. Mając w ręku bilety wstępu do Parku Narodowego, zanurzyliśmy się w Puszczy Jodłowej…

Piękny, stary drzewostan dawał chłód zmęczonym podejściem wędrowcom. Michał „Bażant” Tomczak kilkukrotnie przerywał wędrówkę prosząc wszystkich o chwilę uwagi. Dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy o Górach Świętokrzyskich, ich budowie, przyrodzie, a także o zamieszkujących je w zamierzchłych czasach czarownicach. Podziwiając stertę kamieni, która pozostała z ich siedziby ktoś ośmielił się zażartować, że właśnie zdobyliśmy najwyższy szczyt tych ogromnych gór. Jakież było jego i innych zdziwienie, kiedy okazało się, że owa sterta kamieni jest zwana Łysicą i leży na wysokości 612 metrów nad poziomem morza. Wbita kilka metrów dalej tabliczka nie pozostawiała złudzeń: „Łysica 612”. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko zrobić zdjęcie grupowe potwierdzające zdobycie szczytu i … otworzyć ciasteczka!

Sielankę przerwał Bażant dając sygnał do marszu. Jak przystało na niedzielnych turystów uczestnicy Ekskluzywnej Rekreacji Górskiej nie kwapili się ani do opuszczania wierzchołka, ani tym bardziej do zdobywania kolejnych szczytów. Sytuację pogorszyła się jeszcze gdy okazało się, że organizatorzy nie przewidzieli przerwy na lunch w restauracji Mc Donald's. Niepocieszonej grupie nie brakowało jednak poczucia humoru. Osoba podchodząca w sobotnie popołudnie czerwonym szlakiem z Kakonina na Łysicę z pewnością była świadkiem radosnych okrzyków oraz licznych żartów barwnej, prawie 30-osobowej grupy podążającej w przeciwną stronę.

Myliłby się jednak ten, kto by pomyślał, że Rajdowicze zmuszeni byli nosić na plecach ciężkie plecaki. Jak przystało na Ekskluzywną Rekreację Górską, wszystkie ciężkie rzeczy pozostały w autobusie pod czujnym okiem kierowcy, który niepostrzeżenie przejechał na drugą stronę rozległego pasma Łysogór do Kakonina. Dosiedliśmy się więc do naszych rzeczy i ruszyliśmy w dalszą drogę. Przerażenie rosło wraz z dojazdem do ogromnego parkingu w Hucie Szklanej. Liczba autokarów zaparkowanych nie tylko na samym parkingu lecz również wzdłuż drogi była porównywalna z liczbą pojazdów oczekujących na przejściu granicznym w Medyce w szczycie sezonu. Organizatorzy przez całą drogę zajmowali się straszeniem uczestników „że Łysica, to była rozgrzewka i teraz dopiero będzie prawdziwe podejście i prawdziwe góry”. Cóż, nie było w tym zbyt wiele prawdy… Podejście miało przewyższenie poniżej 100 metrów, a całość przeszliśmy idąc po asfaltowej drodze wśród rosnącej rzeszy turystów nie tylko w klapkach, lecz również na obcasach i w szpilkach. Mimo tych utrudnień, panorama z Łyśca wynagrodziła wysiłek. Podziwialiśmy okoliczne wzniesienia i miasta z platformy rozciągniętej nad wielkim gołoborzem ciesząc się piękną, słoneczną pogodą. Po powrocie na główny szlak, ujrzeliśmy setki turystów kupujących drobiazgi w licznych kramach, opalających się w ostatkach letniego słońca, a także rzesze ludzi biorących udział w mszy świętej na polanie nieopodal Sanktuarium na Świętym Krzyżu. My w tym czasie zwiedziliśmy sanktuarium oraz muzeum, po czym rozpoczęliśmy zejście do Nowej Słupi.

Wkrótce oczom uczestników ERG-u ukazały się zabudowania Nowej Słupi oraz Kamienny Pielgrzym. Podobno co rok kamienna rzeźba przesuwa się o ziarenko piasku w stronę sanktuarium na Świętym Krzyżu, a gdy dojdzie nastąpi koniec świata. Na szczęście ziarenek piasku pozostało jeszcze dość dużo. Istnieje zatem szansa, że przynajmniej z powodu Kamiennego Pielgrzyma z Nowej Słupi koniec świata nie nastąpi.

Ostatni, 200 metrowy odcinek trasy uczestnicy ERG-u pokonali w najsłuszniejszym obuwiu: w klapkach! Wesoło maszerując dotarliśmy do schroniska, gdzie zameldowaliśmy się przed godz. 18.

Po wysłuchaniu „fascynującego” przemówienia „przemiłego” kierownika, zjedzeniu prawie 25 litrów lecza nastąpił czas na największą atrakcję wieczoru: rozwiązanie konkursu na najmniej przydatną rzecz w górach. Zwyciężyła korkownica (przyrząd do korkowania wina) przyniesiona przez Radka Osadnika. Wśród propozycji rzeczy absolutnie nieprzydatnych w górach były również kuleczki Newtona, maska gazowa, głośniki samochodowe, jedna łyżwa oraz wiele, wiele innych. Odbył się także plebiscyt na najbardziej „niedzielnego” turystę, zawody w rzucie klapkiem na odległość oraz konkurs plastyczny na najciekawsze odwzorowanie dymarki. Było bardzo wesoło, a kreatywność uczestników przerosła wszelkie oczekiwania. Oczywiście do późnej nocy po schronisku niosły się śpiewy i dźwięki gitary.

Następnego dnia 20 osób wybrało się na autokarówkę po okolicy. Zwiedziliśmy m.in. zamek i kościół w Bodzentynie, dworek Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku oraz zamek w Chęcinach. Obejrzeliśmy też słynny Dąb Bartek. Po powrocie do Kielc rozjechaliśmy się do domów.

W sumie w ERG-u wzięło udział 37 osób (razem z organizatorami), w tym ośmioro Harnasi: Kajetan Kowalski, Jola Wolińska, Basia Zygmańska, Raketa, Justyna Kołodziej, Piotr „Metzger” Latusek oraz organizatorzy: Michał „Bażant” Tomczak oraz Krzysiek Krawiec. Mimo kontrowersji wokół lokalizacji mety oraz motywu przewodniego, tegoroczny ERG należy – moim zdaniem – zaliczyć do udanych.

Krzysztof Krawiec

DZIEŃ Z ŻYCIA WŁÓCZYKIJA

CVRSNICA CZ 1.

Planując w domu trasy do przejścia w Bośni i Hercegowinie, znalazłem w necie piękne zdjęcie z podanym namiarem na autora. Napisałem. Autorem okazał się bardzo pomocny Dino, który udzielił kilku cennych wskazówek i odpowiedział na szereg nurtujących mnie pytań. A najistotniejszym problemem były, oczywiście, miny. Niektóre pasma wolne w całości, w innych nieco gorzej sprawa wygląda.

- Ale jak się będziesz znakowanych szlaków trzymał, to będziesz bezpieczny.

- Aha. To cieszy. Mam tylko nadzieję, że to znakowanie będzie wystarczające.

Pojechałem. Pierwszą wycieczkę odbyłem na Troglav – najwyższy wierzchołek pasma Dinary. Następnie przejechałem w góry Cvrsnica [czwrsznica]. W przeddzień opisywanej trasy rozmawiałem m.in. z franciszkaninem, kierującym budową crkvy Sveti Iljie. Powiedział, że planowana trasa zajmie szesnaście godzin – samego marszu. Sam sobie mam doliczyć potrzebny czas na odpoczynki. Nie zraziłem się. Zanocowałem pod kościołem św. Eliasza.

W nocy budzi mnie chłód i nie ma rady – wsuwam się w drugi śpiwór, po czym powracam od razu w ramiona Morfeusza. Budzik w telefonie nastawiony na 6:15, a przynajmniej takie tkwi we mnie głębokie przekonanie. Tym większe jest więc moje zdumienie, gdy uchylam powiekę i dostrzegam zupełną jasność na zewnątrz. Co jest?! Rzut oka na zegarek - dochodzi siódma. A więc - coś pochrzaniłem. I to w takim dniu, w którym bardzo zależy mi na czasie. Przede mną szesnastogodzinna trasa, a ja się wyleguję. Nędza!

Błyskawicznie wyskakuję ze śpiworów i się ubieram. Szybko ścielę wóz i podjeżdżam pod samo ogrodzenie terenu kościelnego. Łapię plecak i ruszam w trasę. Ścieżka zaczyna się na stromym stoku, tuż przy bramie. Stoi tu słupek z oznaczeniem szlaku, a na przytwierdzonej tabliczce dwie nazwy: Plocno oraz Ploca. Na zegarku 7:10.

Szlak jest tu bardzo prowizoryczny – kluczy między drzewami, tuż ponad wygryzionym przez koparkę zboczem góry. Najwyraźniej sympatyczny franciszkanin i w tym maczał palce, powiększając teren kościelny. Wreszcie natrafiam na porządną ścieżkę. Skręcam w prawo, gdzie wygodna dróżka pnie się sosnowym lasem na najbliższe wzgórze. Pomiędzy koronami drzew zagląda z drugiej strony płaskowyżu masyw Vran, a za chwilę prześwitują też bliskie skały Plocna.

Szlak osiąga grzbiet i przez chwilę idę prawie po równym, by wkrótce zacząć się obniżać. Wyczuwam, że kieruję się na Boricevac – polanę, na którą wczoraj dojechałem samochodem, wyszukując szlaku w góry. Jakoż i po chwili dostrzegam już zasłaną porannymi mgiełkami, znajomą dolinkę. Przecinam ją na skraju lasu, po czym zaczynam strome podejście w kierunku prześwitujących, wapiennych ścian, opadających stromo na północ. Szybko więc zyskuję wysokość. Za mną ponownie widoczny Vran, a tuż nade mną opromienione porannym blaskiem skały, które wczoraj podziwiałem z szosy. Cuzica kuk.

Wydostaję się na próg płytkiej dolinki krasowej i teraz również i ja dostaję dawkę porannego słońca. Wprawdzie nie w takiej ilości, jak poprzedniego dnia na Troglavie, ale również i tutaj jesień daje swoje kolorowe przedstawienie. Wchodzę na kolejny prożek i teraz zaczyna się cały ciąg niewielkich dolinek, z których każda leży nieco wyżej od poprzedniej. Jednocześnie ścieżka kluczy w niemal wszystkich kierunkach świata. Gdy znajduję się wyżej, w słońcu, czuję już przyjemne ciepło, rozlewające się po całym ciele, kiedy zaś zanurzam się w dolinkę, ogarnia mnie ponownie chłód, a pod stopami srebrzą się pokryte szronem trawki.

W pewnym momencie dostrzegam przed sobą znacznie dłuższą od poprzednich dolinkę. Obniżam się łagodnie i gdy jestem mniej więcej w połowie, zerkam w prawo, gdzie ponad pionowymi ścianami Plocna wyraźnie już widać zabudowania wojskowe na samym szczycie. A więc dotarłem do miejsca, które według mapy zwie się Stanine, a od najwyższego szczytu Cvrsnicy dzieli mnie jeszcze około 450 metrów wysokości.

Po chwili ścieżka się już podnosi, teren stromieje i wdrapuję się po przeplatanych trawkami kamieniach na widoczną z dołu przełączkę, stanowiącą krawędź kolejnego leja. Teraz następuje ciąg małych polanek wypełniających dna płytkich niecek. Spotykam tabliczkę z opisem: Plocno – 1,45. Wskazuje na wprost, ale zwykle umieszcza się takie informacje na rozstajach, czy w innych charakterystycznych punktach trasy. Penetruję więc wzrokiem okolicę – jakaś boczna ścieżka? A może moja trasa diametralnie zmieni kierunek? Niczego takiego jednak nie dostrzegam i dalej wędruję w kierunku wschodnim. Gdzieś tu jednak będę musiał ten kierunek zmienić. Jakoż i po chwili ścieżka zaczyna stopniowo skręcać w prawo, łagodnym dużym łukiem, niejako mimochodem, przy okazji okrążania kolejnych dolinek krasowych.

Wreszcie dostrzegam blade, czerwone kółko nieco powyżej mnie. A więc wariant górny tu obowiązuje. Zwiększam gradient podejścia i wkrótce odnajduję nikły ślad ścieżki. Po chwili trakt staje się znów wyraźniejszy, a po osiągnięciu grzbietu pagórka w oczach wyrasta mur Plocna. Lewa część bardziej skalista, środkowa – piarżysto-trawiasta z koroną zabudowań na szczycie – i ponownie skały, uciekające gdzieś w prawo.

Wędruję teraz w miarę płaskim grzbietem. W lewo roztacza się widok na niekończące się morze, częściowo porosłych trawą i kosodrzewiną, piarżystych lejów. Na osypującym się w moją stronę kamienistym zboczu dostrzegam wyraźne zakosy – domyślam się, że to moja trasa. Wkrótce dochodzę pod stromy stok, opadający z Plocna, gdzie moja ścieżka znów staje się trudniejsza do odnalezienia. Przechodzę nad kilkoma, głębszymi lejami o bardzo stromych ściankach – zalegają tu płaty brudnego śniegu, a dno leja czasami ginie w ciemnej czeluści. Nie ryzykuję podejścia zbyt blisko – ruchomy piarg mógłby się stać śmiertelną pułapką.

Docieram do widzianych z daleka zakosów – to jakaś ścieżka, prowadząca z dołu. Skąd? Nie

TO BYŁO

✔ 13.09 „Przeciwny żywioł" czyli opowieści o wodzie w wykonaniu prezesa Grzegorza Pasieki – żeglarstwo śródlądowe oraz Krzyśka Krawca – żeglarstwo pełnomorskie.

✔ 17-18.09 Impreza Muzyczna u Żab na Roli odbyła się w gronie kameralnym, przy pięknej, wrześniowej pogodzie. Prócz gospodarzy byli: Paskuda, Jola i Jacek G., Rakety w komplecie, Bogna z Pickiem i córkami Celiną i Martą.

✔ 20.09.2011 Maciek Antonik opowiedział o najciekawszych miejscach na Węgrzech.

✔ 24-25.09 Eksluzywny Rajd Górski odbył się w tym roku w Nowej Słupi, w Łysogórach.

✔ 27.09 „W krainie fiordów i trolli" – o swoich wakacyjnych podróżach do Norwegii opowiedzieli: Justyna Kołodziej, Piotr „Metzger" Latusek oraz Krzysiek Krawiec.

✔ 04.10 zebranie knajpowe.

✔ 09.10 odbył się I termin egzaminu praktycznego. Wynik 3:3. Zdali: Patrycja, Magda i Rafał. W piątek zwiedzaliśmy Bielsko-Białą i nocowaliśmy na Rogaczu. W sobotę: Matyska, Węgierska Górka, Soblówka i stamtąd jedna grupa poszła na Smereków Wielki, druga na Klin. Spotkaliśmy się na Oszusie i wspólnie spłynęliśmy do doliny potoku Urwisko i na nocleg do Starej Chaty w Soblówce. W niedzielę bezszlakowe wejście na grzbiet Rycerzowa - Wiertalówka i zakończenie w Bacówce na Rycerzowej.

Grażka

✔ 8-9.10 odbył się Rajd Złota Jesień z Harnasiem – tym razem z tematyką filmową. Organizatorką była Justyna Kołodziej. Metą rajdu była Chata na Zagroniu nad Rajczą Nickuliną, która jest nowym obiektem SKPB Katowice. Pogoda wystraszyła co prawda wielu zapisanych uczestników i na mecie było ich 34 zamiast 54, ale taka ilość osób i tak skutecznie zapełniła chałupę.

TO BĘDZIE

❁ 11.10 zebranie w CKS Mrowisko na ulicy Pszczyńskiej w naszym nowym biurze.

Uzyskaliśmy nieodpłatnie pomieszczenie w nowym budynku Centrum Organizacji Studenckich, zwanym potocznie „Mrowiskiem". Mrowisko znajduje się w wyremontowanym i przerobionym budynku starej stołówki przy ulicy Pszczyńskiej. Pomieszczenie będziemy współdzielili z Watrą. Ma ono ok. 20 m kw. Z pomieszczenia w KW na razie nie rezygnujemy.

❁ 22-23.10 **Rajd Studenci Górom** pod hasłem „Nie jestem przesądny" z metą w bacówce SKPB na Hali Górowej. Przewidziano 2 trasy: „Śladami czarnego kota", „W poszukiwaniu guzików". Koordynator: Piotr „Metzger" Latusek, latusekpiotr@gmail.com

❁ Nowy kurs będzie prowadzony według rozporządzenia Ministra Sportu i Turystyki z dnia 4.03.2011r. i będzie obejmował całe Beskidy od Ustronia po Wołosate. W programie kursu przewidziane są wyjazdy m.in. w Beskid Śląski, Żywiecki, Gorce i Bieszczady. Z powodu rozszerzenia programu kursu o nowe tereny zmuszeni jesteśmy zmienić również termin rozpoczęcia i czas trwania kursu. Nowy kurs rozpocznie się na wiosnę 2012, a zakończy w grudniu 2013. Termin blachowania nie ulegnie zmianie.

mam pojęcia. Teraz szybko zdobywam wysokość. Ścieżka jest idealnie wydeptana i pozwala na poświęcenie uwagi otaczającemu krajobrazowi. W kierunku północno-zachodnim, ponad dolinką, którą tu dotarłem, ściele się Dugo Polje z pasmem Vran, na północnym wschodzie widoczny Vilinac i Drinaca (Trinaca) – całość ograniczona przez bliskie ściany Plocna. Głęboko w dole, pod moimi stopami, uciekające leje krasowe, a po lewej stopniowo znad pionowych skał wyłaniają się poszarpane granie sąsiedniego pasma; to już Prenj.

Pot zalewa mi oczy, kiedy wreszcie strome podejście się kończy i staję na prawie zupełnej płaskaciźnie. O ile na północ nie tylko wierzchołek, ale cała grań najwyższej góry pasma Cvrsnica spada prawie pionowymi skałami, to po południowej stronie dałoby się od biedy zbudować boiska piłkarskie. Chociaż zjawiska krasowe sugerowałyby raczej pole golfowe dla gigantów. Trzy minuty później staję na szczycie tuż obok wojskowych zabudowań. Pstrykam samowyzwalaczem fotkę i rozglądam się dokoła, zastanawiając się nad dalszą trasą. I wtedy przychodzi mi do głowy niezbyt rozsądny pomysł…

Planując tę trasę, miałem na myśli tylko Plocno i Vilinac. Pierwszy szczyt właśnie zdobyłem. Drugi dobrze stąd widać. Owszem, dzielący mnie dystans nie jest mały. Ale skoro na starcie oprócz Plocna wymieniona była również Ploca?.. Widzę ją stąd – całkiem ładna góra. To może… Przecież nie przyjadę tu w najbliższej przyszłości, by wejść akurat na nią. O ile może to wydłużyć całkowity czas? Trudno powiedzieć, ale skoro była strzałka, to będzie ścieżka i szlak. Półtorej godziny więcej? Może dwie. Trochę niebezpiecznie zbliżam się do granic moich możliwości. To przemawia przeciwko temu wariantowi.

Ale – z drugiej strony – jaką mam alternatywę? Powrót tą samą ścieżką w dolinę, w okolicę ostatniej tabliczki, tam gdzie szlak zataczał szeroki łuk. Tam nawet nie było widać żadnej innej drogi, która by mnie do Vilinaca przybliżała. Kto wie, czy dołem w ogóle biegnie jakaś ścieżka. I to przemawia za wariantem pójścia na Plocę. OK, decyzja podjęta. Moja wewnętrzna nawigacja oznajmia mi:

– Przeliczam.

A po chwili ten sam głos:

– Idź grzbietem na zachód. Tylko się pospiesz! Jeśli nie chcesz się tłuc po nocy…

Wracam na przełączkę. Nie widać tu żadnych znaków, ale jakieś takie mizernie wydeptane ścieżki się plączą. Wybieram jedną z nich i po chwili dochodzę do ciekawych lejów częściowo wypełnionych zleżałym śniegiem. Korci mnie jednak widok na urwistą, północną ścianę, walę więc skosem w jej kierunku. Skalny mur nie zawodzi oczekiwań – w tyle strzelisty kieł, który zdążył już wyrosnąć pomiędzy szczytem a mną, zaś w przedzie pionowa ściana tnie świat na pół, zostawiając po prawej sielankowo łagodny, północny grzbiet, a po lewej pasmo Vilinaca ponad niezliczonymi drobnymi nieckami, rozdzielonymi falami kosodrzewinowych pagórków.

Niestety, poznikały wszelkie ślady ścieżek, a szlaku nadal nie widać. Ale teren jest łatwy – trawki przetykane niewielkimi kamieniami; idzie się stosunkowo szybko. Za kilkoma garbami kusi grzbiet Plocy – rozglądając się uważnie za czerwonymi kółeczkami, podążam w jego kierunku. Po prawej ręce otwierają się coraz głębsze leje krasowe, bardziej przypominające już zapadliska i muszę je raz po raz okrążać. Zwalniam nieco tempo, co przy wydłużeniu trasy o kolejne łuki nad krawędziami zapadlisk, stawia potężny znak zapytania nad dalszą trasą.

Ploca rośnie w oczach. Docieram na przełęcz, skąd bardzo poszarpany grzbiet pnie się w stronę szczytu. Nadal ani jednego czerwonego kółeczka. Zrzucam plecak z ramion i sięgam po mapki. Tego fragmentu nie mam wprawdzie na wydrukowanych sztabówkach – nie zakładałem przejścia takim wariantem – ale mam też ze sobą schematyczny przebieg tras w Cvrsnicy. Bardzo schematyczny i bardzo niedokładny. Próbuję jakoś dostosować tę niby-mapkę do terenu. Po krótkiej chwili doznaję olśnienia. Zaczynam rozumieć tabliczkę, którą widziałem rano, tabliczkę z napisem: „Plocno, Ploca", która mnie skłoniła do pójścia tym wariantu. Mimo bliskości obydwu szczytów, nie należało zakładać, że trasa łączy je bezpośrednio. Raczej chodziło o to, że na każdą górę można z osobna wejść z pofałdowanej doliny po północnej stronie. Na Plocno tak właśnie wszedłem. A potem zapędziłem się tu, gdzie teraz jestem. W kozi róg…

Konsternacja. Co robić?.. Właściwie, najrozsądniej byłoby wrócić na Plocno. Najrozsądniej? A co potem? Przecież i tak żadnej ścieżki, żadnego szlaku na figurujących na mapie rozstajach nie widziałem. Znowu wlepiam wzrok w moje karteluszki. Jeżeli rzeczywiście istnieje jakiś turystyczny trakt na Plocę, to zgodnie z tym schematem musi tu gdzieś w pobliżu przebiegać. Wprawdzie na tym schemacie nie ma ani poziomic, ani nawet grzbietów, ale gruba krecha ścieżki prowadzi na wierzchołek jakby od mojej strony. Zatem najlepiej będzie schodzić w dolinę na północ od szczytu, uważnie się rozglądając za czerwonymi kółeczkami lub chociażby za jakąś ścieżką. A więc – w drogę.

Już po chwili teren staje się dosyć trudny. Pojawia się kosówka, która wcale nie ułatwia wędrówki. Nie dość, że stanowi gęstą zaporę, prawie nie do przebycia, to jeszcze skutecznie ukrywa teren pod sobą. Obchodzę jej zagony i natykam się na skalne progi o wysokości od kilku do kilkunastu metrów. Lawiruję pomiędzy nimi, wyszukując słabszych punktów. Udaje mi się trafić na pochyłą rampę, którą zagłębiam się pomiędzy pionowe ścianki. Nagle – stop! Rampa jest dziurawa. Spod stóp obrywa się stromy, kilkunastometrowy uskok. Zapadlisko krasowe. Obchodzę je ostrożnie i trafiam zaraz na następne. Wąska studnia o ostrej krawędzi i pionowych ścianach. Próbuję zajrzeć w głąb – dna nie widać. Gdybym tam wpadł, pewnie by mnie już nie odnaleziono.

Dziurawa rampa kończy się urwiskiem. W dole, trochę po prawej, widzę zachęcającą, skośną, trawiastą płasienkę. Tylko, jak się do niej dostać? Przesuwam się wzdłuż obrywu, studiując uważnie rzeźbę skały. Nie, tutaj się nie da. Przechodzę kilka metrów dalej. Też zbyt ryzykownie. W końcu staję nad dosyć interesująco urzeźbionym fragmentem o wysokości kilku metrów. Może tędy? Usuwam drobny żwirek z zagłębienia, które wykorzystam za chwilę jako chwyt i ostrożnie wysuwam nogi poza krawędź. Dotykam stopą jakiegoś stopieńka, po chwili druga też znajduje oparcie i wkrótce głowa znajduje się na wysokości krawędzi. Czuję, że palce mi się ześlizgują z obłego chwytu, więc błyskawicznie rzucam spojrzenie w dół. Jest tam coś na stopy, tylko czego by tu się złapać? Widzę małą szczelinę – pakuję do niej dłoń i zwijam w pięść. Szorstka skała zdrapuje odrobinę skóry, ale trzyma. Szybko więc stopy na niższe stopieńki, teraz wygodniejszy chwyt i po chwili jestem już w dolnej, łatwiejszej części mojej przeszkody. Jeszcze dwa metry i staję na upatrzonej płasience. Następuje teraz cały ciąg ośmio- do dziesięciometrowych uskoków, gęsto poprzecinanych wąskimi półeczkami, ułatwiającymi schodzenie. W którymś momencie zwalniam właśnie lewą stopę, obciążając prawą na takiej półeczce, gdy nagle półeczka z łoskotem wali się w dół. Noga zawisa w powstałej próżni, czuję szarpnięcie obu dłoni, ale na szczęście chwyty wytrzymują. Przez ułamek sekundy dyndam na samych rękach, oblewa mnie fala gorąca, ale już lewa stopa trafia na skalny występ. Z obawą opieram się na nim, ale ten wytrzymuje mój rosnący ciężar. Oddycham z ulgą i szybko znajduję nowe oparcie dla drugiej stopy. Uff… Spoglądam w dół, gdzie rozbił się mój niedoszły stopień. Jakieś osiem metrów niżej…

Wyrównuję oddech, który – nie wiedzieć dlaczego – gwałtownie przyspieszył i powoli schodzę do podstawy ścianki. Kolejne uskoki pokonuję już bez niespodzianek i wkrótce osiągam górne piętro zasłanej piargiem dolinki. Ploca wystaje po prawej ręce; zgodnie ze schematyczną mapką musiałbym już chyba trafić na szlak. Niestety – nadal ani widu, ani słychu. Tracę nadzieję, że on w ogóle istnieje. Ale teraz już odwrót byłby bez sensu.

Niestety, o ile do tej pory głębokie dziury o pionowych ścianach były jeszcze dosyć rzadkie, to teraz wkraczam w rejon ich prawdziwej koncentracji. Zaczyna się prawdziwe kluczenie pomiędzy zapadliskami. Wąskie rowy jeszcze daje się przekroczyć czy przeskoczyć, ale raz po raz natrafiam na wyrwę nie do przebycia. Staram się utrzymywać kierunek przy obchodzeniu takiej przeszkody, ale bywam też zmuszony do chodzenia w poprzek w stosunku do zaplanowanego azymutu. Dwukrotnie zdarza się, że idąc nad krawędzią zbliżam się do następnej dziury i w efekcie po spacerze wąziutką granią dochodzę do jej końca. Pod stopami wolna przestrzeń i nie ma wyjścia, jak tylko zawrócić ze ślepej uliczki. A czas płynie nieubłaganie…

Wreszcie stopień zagęszczenia zapadlisk się zmniejsza i po przejściu małej przełączki staję nad szeroką, zieloną doliną, rozciągającą się pomiędzy mną a pasmem Vilinaca. Dolina jest zbyt głęboka i zbyt zielona, by mnie zachęcić – to jest ciemna zieleń kosówki – wyszukuję więc wzrokiem najdogodniejszą trasę. Najlepiej będzie pójść pomiędzy pasem skał powyżej, a stromym stokiem poniżej – jasna zieleń traw na tym odcinku wydaje się być optymalnym wariantem. Optymalnym? Co właściwie może być optymalnego w poruszaniu się zupełnym bezdrożem w terenie, gdzie toczyły się walki i do dziś mogą czyhać niespodzianki?.. Może poniewczasie, ale jakoś uświadamiam sobie niebezpieczeństwo min. Gdybym szedł szlakiem, to mógłbym oczekiwać, że w przypadkach wątpliwych pojawiłyby się stosowne tablice ostrzegające. Ale tutaj – na zupełnym pustkowiu – kto i w jakim celu miałby tu stawiać ostrzeżenia?.. Po plecach, tak gdzieś w okolicy kręgosłupa zaczynają spacerować ciarki.

Dopada mnie nagłe zwątpienie. Co ja wyprawiam?! Podnoszę stopę i zastanawiam się, czy mogę ją opuścić krok dalej. Ale nie mam

wyjścia. Stawiam nogę i przenoszę ciężar ciała. Nic. Kolejny krok w przód? Czy rozsądniej będzie jednak zrezygnować z dalszej trasy i wrócić? Ale jaką mam gwarancję, że już nie przeszedłem przez pole minowe? W jedną stronę się udało, ale przy powrocie będę przecież stawiał stopy w innych miejscach. Czyli powrót jest bez sensu. Pozostaje przeć do przodu. Szkoda, że nie mam skrzydeł. Że nie potrafię latać… Latać? Przypomina mi się przypowieść o lisku luzaku. Kursuje w kilku wersjach; przytoczę jedną z nich.

Do siedzącego na skale orła przylatuje kruk.

– Cześć orzeł, co robisz?

– Luzaczę!

– Co to znaczy: luzaczysz?

– Aaa, skaczę z tej skały, spadam jak siekiera w dół i dopiero pięć metrów nad ziemią rozkładam skrzydła.

– Super! Mogę z tobą poluzaczyć?

– Jasne!

Przychodzi lisek i widzi orła i kruka szykujących się do skoku.

– Co robicie?

– Luzaczymy.

– W jaki sposób?

– Skaczemy ze skały i lecimy długo bez rozwijania skrzydeł.

– Faaajnie! Mogę z wami?

– W grupie raźniej!

A więc skaczą we trójkę i lecą w dół. Tuż nad ziemią orzeł woła:

– Rozkładamy skrzydła!

Na to lisek:

– Ale ja nie mam skrzydeł!

Orzeł i kruk spoglądają na niego ze zdumieniem, przeradzającym się w podziw.

– Lisek! Ty to dopiero luzak jesteś!!!

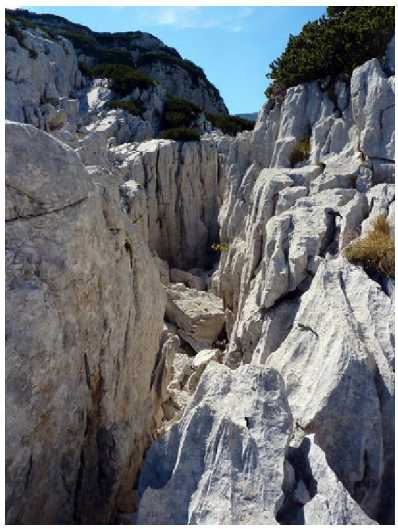

No i teraz zaczynam się czuć, jak lisek luzak. Z tą nie odstępującą mnie już teraz świadomością duchowej łączności z chytrym rudzielcem ruszam naprzód. Ba! Ale jak lepiej – prosto jak kamikadze czy slalomem między minami? Żebyż je chociaż było widać! Chociaż – skoro nie widać, to może ich nie ma! To tak, jak ze światem w pewnej teorii – gdy zamkniemy oczy, wtedy świata po prostu nie ma. Strusie coś o tym wiedzą. Nic to, takie rozważania donikąd mnie nie zaprowadzą. Kieruję się w stronę trawiastego przesmyku pomiędzy stromym zboczem opadającym w dolinę, a schodzącym z góry pasem kosodrzewiny. Lekko podchodzę, gdyż stok zaczyna się ostro urywać w lewo i w końcu trafiam na fragment, gdzie już muszę się łapać gałęzi, asekurując się w ten sposób przed gwałtownym sturlaniem w dolinę. Po chwili trudniejszy odcinek mam za sobą. Powraca natrętna myśl: Lisek, luzaku jeden!

Docieram na rodzaj przełączki. W dali widać nieco zamglone góry Prenj ponad głęboką doliną Neretwy, a ja skręcam w lewo, obierając kierunek na sterczący wysoko nade mną szczyt Vilinaca. Po przejściu trawiastego siodła, zastanawiam się przez chwilę, czy pójść podnoszącym się stopniowo, wapiennym grzbietem, czy wybrać wariant na lewo od niego, gdzie widać coś w rodzaju rampy poniżej grzbietu. Decyduję się na grzbiet – zawsze to więcej z niego widać. Poza tym, rampa jakby zaprasza do pójścia nią. A ja właśnie dopracowuję się pewnej koncepcji. Zgodnie z nią powinienem raczej chodzić zupełnym bezdrożem. Dlatego pcham się na grzbiet, co jednak okazuje się dosyć męczące. Rzeźba terenu przypomina tu potężne, zastygłe fale oceanu, które przychodzi mi teraz pokonywać w poprzek. Co się na którąś wespnę, to już mam pod stopami ugięcie, kilka metrów w dół, po czym kilkanaście w górę, na grzbiet kolejnej. I tak – fala za falą. Płyń, lisku, płyń…

Zielone rejony zostają za mną, a ja forsuję kolejne wapienne bałwany, szlifując teorię kładzenia min. Staram się wczuć w skórę tych, którym przyszło wykonać taką robotę. Powinni je kłaść tam, gdzie się spodziewają, że ktoś będzie przechodził. Przecież bez sensu byłoby je układać na zupełnym bezdrożu, gdzie zapewne nikomu by nie strzeliło do głowy, by się tamtędy pchać. Czyli może nie jestem aż taki lisek luzak, bo przecież wałęsam się właśnie z dala od wszelkich mniej czy bardziej uczęszczanych traktów. To znaczy, że jestem zupełnie bezpieczny! A przynajmniej tak się pocieszam…

Gdzieś tam ciągle mi podzwania w myśli: ty to dopiero luzak jesteś! – jednak staram się skupić na świeżo dopracowanej teorii kładzenia min i prę wciąż w pocie czoła do przodu. Za kolejną zastygłą falą natrafiam na ścieżkę. No, wreszcie coś wygodniejszego! Wchodzę na nią i nagle staję jak wryty. A co z niosącą nadzieję, opracowaną właśnie teorią?..

Zgodnie z nią, bezpieczniej jest poza ścieżką, a więc schodzę z niej i staram się iść w pobliżu. Jak blisko?.. Hmm… Do pięciu metrów to ja bym minę położył. Ale o wiele gorzej idzie się nierównym bezdrożem po ostrych, wystających kamolach, niż nieco mizerną, ale jednak ścieżką. Nie wytrzymuję i obalam z takim trudem opracowaną teorię. Przecież kładący minę mógł przewidzieć, że ktoś będzie – na wszelki wypadek – trzymał się z dala od wydeptanego traktu. Poza tym – powiedzmy to sobie szczerze i otwarcie – budując tę teorię, próbowałem tylko dodać sobie animuszu. Naukowych podstaw to ona nie ma ani za grosz. Wracam na ścieżkę.

Po kilkudziesięciu metrach problem przestaje w ogóle istnieć, jako że zanikł zupełnie wydeptany trakt i znów mogę się poruszać, jak mi wygodniej. A wygląda na to, że najwygodniej będzie teraz lekko zieloną, podnoszącą się dolinką. Docieram nią na łagodne siodło przełączki, z niej trochę w dół i co widzę?! Szlak! Prawdziwy, turystyczny szlak! Najpierw kopczyk, a nieco dalej mocno wytarte, czerwone kółeczko. Hurra! Nie mam pewności, skąd i dokąd prowadzi ten szlak, ale przypuszczam, że w prawo dałoby się dojść na Wielkiego Kuka, a w lewo – to pewnie mój kierunek: Vilinac. Po chwili mijam głaz z dwiema strzałkami i trudnymi do odszyfrowania literami przy każdej z nich. Nie widzę dalszych znaków, brak również ewidentnego śladu, ruszam więc w górę, starając się utrzymywać kierunek strzałki. W efekcie trafiam w gęste zarośla. Muszę je obejść i powyżej znów odnajduję czerwone kółko. Wkrótce widzę strzałkę w lewo, chociaż mój nos mówi mi, że raczej wprost w górę należałoby pójść. Zwłaszcza, że widzę w dali, nieco po prawej, jakieś zabudowania. Na schematycznej mapce mam bardzo schematycznie zaznaczony symbol schroniska z nazwą „Tise”, ale podana wysokość wyklucza tę opcję. Jestem znacznie wyżej, a widoczne dwa budynki są jeszcze nade mną. Ponadto, na sztabówkach Tise opisane jest w innym miejscu, ale w pobliżu grzbietu widnieją małe literki „Pl.d.”. Planinarski dom. Zakładam, że szlak powinien się kierować w efekcie w tamtą stronę.

Nie mam jednak możliwość sprawdzenia, gdyż już nie udaje mi się go więcej odnaleźć. Próbuję teraz kolejnych wariantów na coraz bardziej stromo podchodzących polanach między bujnie rozrośniętą kosodrzewiną. Odrzucam również pomysł pójścia w stronę schroniska, gdyż straciłem już sporo czasu i wolę raczej skracać trasę, niż ją wydłużać. A najkrócej będzie pójść wprost w górę na prześwitujący coraz wyraźniej grzbiet Vilinaca. Robi się tak stromo, iż nie gardzę pomocą kijków trekingowych. Niestety, już po chwili rozpada mi się jeden kijek. Szybka akcja naprawcza – kijek funkcjonuje. Kilkadziesiąt metrów wyżej kijek rozpada się ponownie. Znów kombinuję, jak mu pomóc, by on mógł pomóc mnie i znów po krótkim czasie z jednego kijka robią się dwa krótsze. Jeszcze raz próba naprawy i w efekcie osiągam jakoś grzbiet. Otwiera się widok na zasłoniętą do tej pory północną partię Cvrsnicy.

Chwila podziwiania widoków, po czym zasiadam do posiłku. Muszę już bardzo oszczędzać wodę – piję raptem kilka łyków. Mam za sobą dwie trzecie trasy. Składam rzeczy i ruszam grzbietem w górę. Śladu ścieżki tu nie widać, ale grzbiet jest łysy i nie ma żadnych wątpliwości co do przebiegu trasy. Nawet w paru miejscach dostrzegam mocno zatarte czerwone plamki, tworzące – przy odrobinie wyobraźni – zamknięte kręgi. Szlak.

Docieram na mały wyprztyk w grani, dalej lekkie obniżenie i podejście na szczyt – Veliki Vilinac zdobyty! W metalowej puszce świeży kajet, w nim kilkadziesiąt wpisów. Dokładam i swój. Sprawdzam czas – jest 16:30. Zostały mi dwie godziny do zachodu słońca…

c.d.n.

Wojtek Spała